

III Edycja rajdu rowerowego dookoła polski z MKT

Od żubra do Kopernika (cz. I)

Słoneczny początek maja zapowiadał nieco pogodniejszą wiosnę niż w ubiegłym roku. Nic więc dziwnego, że zbliżający się termin trzeciej edycji naszego Rajdu Dookoła Polski z Medycznym Klubem Turystycznym budził nadzieję na jego realizację w bardziej niż ostatnio przyjemnej aurze.

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCYNY WSI

Oprócz stałych uczestników: Alicji Rokickiej, Roberta Kieszko i Michała Drożdża – pracowników Uniwersytetu Medycznego; jak zwykle niezawodnie przybywającego z Anglii Mariusza Nowaka i mojej skromnej osoby w tradycyjnej roli kierownika, tym razem dołączyli do nas nowi amatorzy terenowego cyklistyki. Popołudniem 26 maja w wynajętym busie do Białowieży spotkaliśmy także Andrzeja Szyszko – pracownika lubelskiego Biomedu i Dorotę Lewińską, której udział długo stał pod

znakiem zapytania z powodu problemów zdrowotnych.

Tym razem prezes MKT Paweł Krawczyk twardo zapowiedział udział w rajdzie z całą rodziną, to jest z żoną Kamilą i 3-letnim synem Adasiem, którego zamierzał wytrwale wieźć na foteliku rowerowym. Miałem duże wątpliwości, ponieważ ten ambitny plan wymagał obciążenia rowerów rodziny do granic wytrzymałości włącznie z dodaniem osobnej przyczepki typu Extra-Wheel. Muszę przyznać, że myliłem się. Krawczykowie jechali wprawdzie wolniej i głównie szosami, ale wytrwale podążali za główną grupą aż do suwalskich Wiżajn.

Zapowiadała się najdłuższa z dotychczasowych edycji – około 650 km

po urozmaiconym i atrakcyjnym terenie Podlasia, Suwalszczyzny, Mazur i Warmii, wokół jezior, przez puszcze i przez niemałe wzniesienia. Ponadto, tym razem towarzyszyć nam miały granice aż trzech państw Białorusi, Litwy i Rosji. Po noclegu na białowiejskim polu namiotowym, gdzie puszczańskie ptactwo zbudziło nas okrutnym wrzaskiem, jak w tropikalnej dżungli o 3-ciej rano, oficjalne rozpoczęcie rajdu miało miejsce na tym samym przejściu granicznym, na którym zaczynaliśmy drugą edycję.

Atmosfera przejścia tak samo senna, zdaje się nadal nie ma zbyt wielu chętnych na odwiedzanie rajdu Łukaszenki. Senność i marazm zdaje się wpłynął też na nas, bo ruszyliśmy w trasę dość niespiesznie i czym prędzej urządziliśmy pierwszy postój na porannej kawce przy białowiejskim parku pałacowym.

Od początku peleton rozciągnął się w stałej kolejności, która utrzymywała się niemal niezmiennie do końca rajdu. Na początku nasi sprinterzy Robert i Michał z niezrównanym indywidualistą Mariuszem kursującym wzdłuż całej stawki. W środku wycieczki ja, Alicja i Andrzej. Za nami coraz dalej,



Rozpoczynaliśmy trasę
w dobrym nastroju
i z nadziejami, że się
nie zawieziemy –
jak poprzednio

lecz nie więcej niż 20 minut Dorota która mimo problemów dzielnie dotrzymywała dystansu reszcie rajdu. Przez pierwsze dni rajdu regularnie spotykaliśmy w trasie i na noclegach Krawczyków starających się dotrzymać nam kroku. Stwarzało to pewne problemy nawigacyjne, zdarzały się zagubienia drogi i opóźnienia, ale ostatecznie, ponieważ plan nie był napięty rozpoczynaliśmy trasę w dobrym nastroju i z nadziejami, że się nie zawieziemy – jak poprzednio.

Przez podlaskie puszcze

Od wielu lat toczy się w Polsce mój zdaniem bezprzedmiotowa dyskusja na temat rozszerzenia granic Białowieckiego Parku Narodowego. Jako argument przeciwny wytacza się zawsze interesy miejscowej ludności, która to ma w wypadku rozszerzenia Parku stracić okazję do zarobku. Ciężkie maszyny do ścińki drzew przetaczające się przez leśne dukty w kuriozalnym tworze, jakim jest „Leśny Kompleks Promocyjny Puszcza Białowieńska” utwierdzają mnie jednak w przekonaniu, że tak naprawdę chodzi tylko o dochody i sens istnienia leśnej administracji państwowej.

Co właściwie ma „promować” takie coś? Czy naprawdę przybywający do Białowieży turyści chcą oglądać tablice na temat zwalczania kornika i wieku rębności drzew? Tym oporem białowiejscy leśnicy dają tylko argumenty ludziom, którzy uważają, że dla leśnika leśne zwierzęta są jak świnie do rzeźni, a drzewa jak zboże pod kombajn. Chyba tylko dla Adasia pracującego przy załadunku ściętych pni ładowarki były atrakcją. Dla rowerzystów

w puszczy to jedynie niemiły hałas i doły w rozjeżdżonych drogach, na których permanentnie luzują się nakrętki i spadają sakwy.

Na szczęście jedziemy jeszcze przez piękny mieszany las. Trasa z konieczności omija rezerwat ściśły BPN od zachodu i powoli zagłębia się od północy w odludzie przy białoruskiej granicy. Po drodze po krótkiej dyskusji zatrzymujemy się na obiad w Narewce, o czym nie zostaje poinformowa-



Białowieża,
rodzina Krawczyków

ny pędzący przodem Mariusz. Kosztowało go to 10 km dodatkowego pedalowania tam i z powrotem, na szczęście piwo i kotlet szybko poprawiły mu humor. Na cmentarzyku przy narewskiej cerkwi oglądamy nagrobki i czytamy ciekawe napisy. Tutaj żona pochowała drogiego męża generała Aleksandra Nikołajewicza Bykowa – głosi rosyjski napis cyrylicą, na nagrobku – sądząc ze stylu – z początku XX wieku. Zapewne ślad to po ważnym przedstawicielu carskiej administracji. Obok o pół wieku późniejszy krzyż z napisem w alfabecie łacińskim (?) „*Iwan Nikołajewicz Drozd... ubity 8 sierpnia 1962 r., dierewnia Miktaszewo, pamiati ot matieri i bratiew (sic!)*” I jeszcze dalej czystą polszczyzną „*Stefan Kisielewski... zginął na wojnie*

dowano na niej zapórę, która spiętrzyła dość duży zalew zamykający drogę wzdłuż granicy. Prawie 10 km trzeba nadłożyć, żeby go objechać, ale przez środek wody po 3 kilometrowej grobli biegnie linia kolejowa, którą mógłby przejść pieszy. Ale czy da się przejechać obładowanym rowerem? Jesteśmy zaniepokojeni, bo dobra dotąd pogoda zaczyna się psuć, nadciągają siłne chmury i wzmaga się wiatr. Chwilę czekamy na Mariusza, który został w tyle poniesiony pasją fotograficzną, nie zważając na kolejowe znaki zakazu wstępu wjeżdżamy na groblę zachęceniu widokiem wydeptanej ścieżki.

Jak na złość, kiedy trzeba było zejść z siodła i przenosić rowery przez most na grobli i dalej po nierównym torowisku burza dość nagle uderzyła

w towarzystwie gospodarza. Tym bardziej byliśmy pełni podziwu, że pan Anatol prowadzi swoje gospodarstwo samotnie. Po milej pogawędce rozłożyliśmy siebie i nasze mokre ciuchy w ruskiej bani i przy zapachu płonących drzew spaliśmy mocno do rana.

Na szczęście ranek był znowu słoneczny. Wypoczęci znowu dziarsko wskoczyliśmy na siodła i ruszyliśmy z kopyta na wschód ku granicznej rzeczce Świsłoczy.

Mimo, że Puszcza Białowieska pozostała już za nami nie narzekamy na krajobrazowe atrakcje, wprost przeciwnie. Teren zrobił się pofalowany a porastające wzgórza łaski – wschodnie forpoczty Puszczy Knyszyńskiej (czy też zachodnie resztki Świsłockiej) co raz to dają miły cień. Z punktu widzenia rowerzysty zastanawiamy się tylko co gorsze, piachy czy „tarka”. Rozrzucony szczerze przez lodowiec podlaski piach sprawia, że koła obracają się w miejscu a rower traci równowagę i wywraca się – trzeba schodzić nawet z górala i miejscami zamieniać się w turystę pieszego.

Z kolei w miejscu, gdzie drogowcy zdążyli położyć i ubić żwir pod przyszłą unijną szosę pojawia się „tarka”. Jakimś niepojętym sposobem, w wyniku tajemniczego oddziaływania deszczu i kół samochodowych droga pokrywa się stadami poprzecznych fałdek, zbyt małych aby je omijać i zbyt dużych, aby nie wprawić roweru i zębów rowerzysty w nieprzyjemne podrygi.

Oczywiście są też miejscowi, którzy – do czego już przywykliśmy na trasie – generalnie ze zdziwieniem i życzliwie odnoszą się do ludzi wędrujących z obciążonymi rowerami. Jeszcze w Narewce ucinamy sobie nieproszoną pogawędkę z miejscowymi „wolnymi od zatrudnienia”, którzy żalą się nam jak złemu ten Park Narodowy, że tyle drzewa w puszczy leży i się marnuje, a nawet za Niemca dawali...

To wszystko przez tych ekologów – skarżą się, ale wobec naszych skonstruowanych min milkną.

– A może to wy jakie ekologi?

Pomiędzy zwałami morenowych głazów jedziemy to bliżej to dalej granicy. Zostawiamy za sobą smutne umarłe wiatraki bez skrzydeł, które dogorywają po polach, podziwiamy stoją-

Jeszcze w Narewce ucinamy sobie nieproszoną pogawędkę z miejscowymi „wolnymi od zatrudnienia”, którzy żalą się nam jaki zły ten Park Narodowy, że tyle drzewa w puszczy leży i się marnuje, a nawet za Niemca dawali...

1941, *pokój jego duszy*”. Wszystko prawosławni, no i powiedz tu gdzie kończy się polskość?

Pożegnawszy na razie Prezesa z rodziną wjeżdżamy na polanę Masiewo, gdzie leży kilka małych wiosek, dziś w większości letniskowych. Docieramy jak najdalej na wschód, gdzie parkowy „Obręb Ochrony Hwoźna” i nikłe ślady po wiosce niemieckich osadników, których historia dawno zapomniała – do granicy białoruskiej stąd 100 m. Kilka chwil na zdjęcia i oganianie się od komarów, a potem już wzdłuż granicy ruszamy do północnego krańca puszczy. Jest przepięknie, a my jeszcze niezmęczeni, więc jedziemy szybko mimo kiepskich dróg.

Od wschodu wpływa tu na polskie terytorium rzeka Narew i przedziera się przez zabagnione i niedostępne łąki. W pobliżu wsi Siemianówka zbu-

w nas deszczem i wiatrem. Na zachodnią stronę nasypu natarły całkiem okazałe fale i mogliśmy się czuć przez te pół godziny marszu „po jeziorze” jak rowerzyści wodni.

Po tej przygodzie deszcz rozpadał się już na dobre. W miarę jak przez łąki i małe łaski jechaliśmy dalej i prze-makali powoli pomimo nieprzemakalnych kurtek coraz bardziej mijała nam chęć biwakowania w namiotach. Nic dziwnego, że telefoniczna propozycja Prezesa zanocowania w kwaterze agroturystycznej w Bahurach wzbudziła w nas entuzjazm.

Podjeżdżał nas tam sołtys, pan Anatol Worona, który odznaczył się prawdziwie wschodnią gościnnością. Po kolacji przy suto zastawionym przesmacznych wędlinami, marynatami i zupą szczawiową stole nie mogliśmy sobie odmówić czegoś mocniejszego



Biwak w Leśnych Bohaterach

ce na wzgórzach drewniane, brązowe cerkwie ze spiczastymi wieżami i białe murowane kościołki.

Opodal słupka granicznego na Świsłoczy w Mostowlanach ustawiamy rowery przy płotku i już po kilku minutach wychodzi gospodarz, jak zwykle skory do rozmowy. Dowiedziawszy się, że jesteśmy z Lublina i upewniwszy się po kilku zadaniach – „Czy wy rozumiecie moje gware?”, zaczyna snuć opowieść jak to bywał po Polsce, kiedy po wojnie służył we wojsku. O Lublin wprowadzić nie zawadził, ale za to zawieźli go do WOP na niemiecką granicę – więc dzieli się z nami swo-

imi wspomnieniami, ot tak bezinteresownie. Niesamowite. Podobnie jak pewien niepełnosprawny pensjonariusz domu pomocy społecznej, który towarzyszył nam w drodze na korbowym wózku inwalidzkim i letnik emeryt z Białegostoku, który zdążył opowiedzieć nam o największym właścicielu ziemskim w okolicy i kruszyniańskich Tatarach.

Dzieje Polskich Tatarów wiążą się z dziejami Wielkiego Księstwa Litewskiego na którego dawne terytorium nasz rajd wjechał jeszcze w czasie II edycji. Uciekinierzy z terenu Złotej Ordy a potem osadzeni na królewsz-

czynach przez Sobieskiego skruszeni buntowniczy Lipkowie od Pana Wołodzyjowskiego tak utożsamili się z polską szlachta, że po II Wojnie większość ich przesiedliła się do Polski. W Bochonikach i Kruszynianach Tatarzy mieli to szczęście, że aby pozostać w Polsce nie musieli się wynosić z domów.

No właśnie, chyba wszyscy słyszeli o polskich Tatarach, ale raczej w kontekście wygasania ich kultury, tymczasem czekało nas miłe zaskoczenie. Za komuny Tatarzy wyjeżdżali stąd do pobliskiego miasta i pozostało tylko kilka rodzin stałych mieszkańców tatarskiego pochodzenia. Za Trzeciej Rzeczypospolitej zwyczajem polskiej „klasy średniej” zaczęli wracać i wykupywać swoje stare domy jako mieszkania letniskowe – tym sposobem tatarskie Kruszyniany odżyły. Szczególnie przypadł nam do gustu młody chłopak – kustosz meczetu, który wspaniale i od siebie opowiadał o swoich ziomkach. I może nawet miał w twarzy coś z Tatara. Po zobaczeniu kruszyniańskiego mizaru – cmentarza, który tą ma zaletę, że jest żywy, o ile można to powiedzieć o cmentarzu, znowu żegnamy Prezesa. Tym razem na dłużej. Adaś się trochę zakatarzył i Krawczykowie zamierzają spędzić noc w gościnnym zajeździe Pod Lipami (doskonale kuchnia i miła obsługa).

Nasza zaś ekipa ruszyła co koń wyskoczy przez Nowy Dwór i Kuźnicę Białostocką nad podziw dobrą szosą. Belkoczący znad piwa menele od razu informują nas co tu ciekawego do zobaczenia – „...a źródła Bbbiebrzy, k...wa widzieli”. Słynna Biebrza mimo, że objęta już parkiem narodowym wygląda tutaj niepozornie – ot taki większy strumień. Znacznie bardziej ciekawi nas zbliżająca się Puszcza Augustowska. Dziś mamy nocować na biwaku, więc szukamy niecierpliwie dobrego miejsca, kiedy tylko wjedziemy w las. W Leśnych Bohaterach (nazwa słusznie kojarzy się z Elizą Orzeszkową) sklepowy wywiad przy zakupie piwa przynosi nam informację, że najlepsze miejsce jest przy dawnej zlewni mleka, bo to teren gminny. Rzeczywiście jest wszystko co potrzeba do udanego biwaku. Jest las, łąka, drzewo na ognisko, czysty strumień do kąpieli, wszyscy posileni niezrównaną



W Tatarskim meczecie, Kruszyniany

zbiorową produkcją konserwowo-makaronową. Kiedy tak siedzimy przy ogniu, zaliczamy także nieodzowny punkt każdej edycji naszego rajdu – wizytę straży granicznej. Tym razem jednak było szczególnie. Patrol zawracał do nas trzy razy zanim ostatecznie zdecydował się spisać wszystkich po czym dla pewności zlustrował nas jeszcze śmigłowcem z powietrza – pozdrawiamy pilotów. Widać nie byliśmy typowymi turystami.

Graniczne dygresje

Jak już pisałem w poprzednich sprawozdaniach, zwiedzana przez nas Polska granica wschodnia to twór sztuczny i dziedzictwo II Wojny Światowej. Przynależące do Rusi a potem Litwy, Podlasie, zostało na północ od Bugu przecięte nienaturalnie prostą linią, co widać wyraźnie szczególnie na północ od Białowieży.

Ponieważ komplikacje historyczno-etniczno-graniczne są na obu większe niż wydawałoby się wszelkim miłośnikom „odwiecznej polskości”, cieszyłbym się, gdyby przelewane tutaj na papier przy okazji naszego rajdu nadgranicznego uwagi chociaż w niewielkim stopniu przyczyniły się do lepszego wzajemnego zrozumienia tych niuansów. Szczególnie, że na fragmencie granicy III edycji sytuacja jest wyjątkowo skomplikowana. Oto wjechawszy do Puszczy Augustowskiej znowu, nieoczekiwanie znajdujemy się na terenie etnicznie polskim i katolickim (?). Nie dziwnego, że muszę napomknąć coś o historii polskości na Litwie.

Szeroki pas bezludnych puszczy, ciągnący się od Puszczy Kurpiowskiej na południe od Wielkich Jezior Mazurskich aż do Puszczy Augustowskiej, też w średniowieczu nie zawsze był pustacią. Gdzieś w tych obszarach historycy umieszczają tajemnicze plemię wojowniczych Jadźwingów, które w XIII wieku zostało wyniszczone przez koalicję polsko-rusko-krzyżacką. Krzyżacy byli zainteresowani pozostawieniem wielkiej puszczy odłogiem – stanowiła doskonałe zabezpieczenie od polsko-ruskich koalicjantów, wkrótce zaciekle wrogów. Rusini ulegli nawale mongolskiej i ich księstwa znalazły się w XIV wieku w wielkim państwie litewskim. Złączona pod berłem

Jagiellonów z Polską Litwa koegzystowała z nią w miarę zgodnie i dążyła wspólnie do zaludnienia i eksploatacji Podlaskich puszczy. Szlak naszego rajdu przechodził przez tereny aż trzech województw dawnej Litwy: w drugiej edycji głównie przez woj. brzesko-litewskie; w trzeciej przez Nowogródzkie i dalej na północ Trockie. Litewscy, a potem litewsko-polscy decydenci zasiedlali te obszary z kilku kierunków. Od południa, wzdłuż Bugu osadzano Rusinów z Wołynia (dziś powie dzielilibyśmy Ukraińców), od wschodu Rusinów spod Wołkowyska i Grodna (czyli Białorusinów?). Ale od zachodu, z Mazowsza dolina Narwi szła też wielka fala osadników polskich a od północy wsie zakładali rdzenni Litwini.

W ten sposób, wokół ośrodków administracyjnych jakimi były książęce,

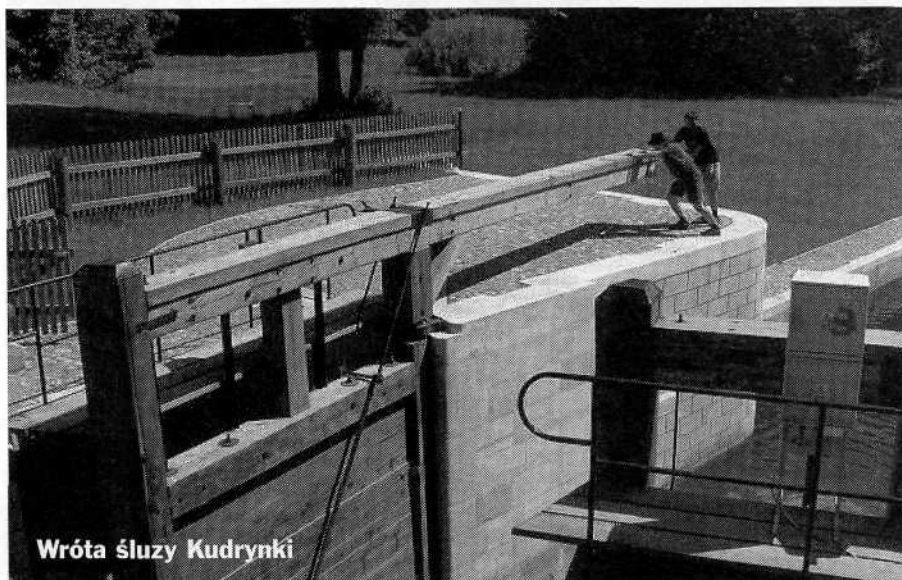
a potem królewskie dwory myśliwskie takie jak Augustów, rosły osady różnych narodowości zaplatając się niczym palce. Czasem izolowane skupiska litewskie czy ruskie ulegały polonizacji i katolicyzacji, ale bywało też i odwrotnie – Polacy się rutenizowali.

Przyłączenie Podlasia do Korony przez Zygmunta Augusta sprzyjało tej pierwszej wersji, ale trzeba pamiętać, że wschodnia granica tego historycznego Podlasia (a więc i wschodnia granica Polski) sięgała o kilkadziesiąt kilometrów bliżej niż obecna granica z Białorusią – rajd poruszał się więc na północ w pobliżu starej granicy, ale po jej Litewskiej stronie (!).

Upadek Pierwszej Rzeczypospolitej wszystko zmienił. Terytorium rosyjskiego zaborcy wdarło się klinem między Bugiem i Narwią, kawałkując



Kurzyniec,
granica państwowa



Wrota Śluzy Kudrynki

Podlasie – tutaj granica sięgnęła Tykocina na zachodzie, na północy Rosjanie zajęli Litwę do Niemna, więc granica była tu oddalona jeszcze na wschód. Reszta tych terenów na lata pozostała jeszcze w kadłubowym Królestwie Kongresowym w ramach województwa augustowskiego. Zaakceptowana ostatecznie po II Wojnie Światowej, z inspiracji Stalina granica pozostawiła Polsce część dawnej Augustowszczyzny zagarniętą na szczęście dla nas Białystok, ale z nim razem ów obszar, który po rozbiorach przypadł Rosji a nie Królestwu. Prowadzona tam polityka narodowościowa sprawiła, że mieszkający tu Rusini zostali przy prawosławiu i utożsamiali się z Rosją, a obecnie nie identyfikują się z narodowością polską (o jeszcze bardziej skomplikowanych dziejach Rusinów z Podlasia południowego pisałem już w ubiegłym roku). I niewiele zmienia fakt, że jak za Drugiej Rzeczypospolitej cały ten teren scalono w jedno województwo (kiedyś białostockie, sięgające dużo dalej na wschód a dziś podlaskie).

Jak smakują czenaki?

Pokrzepieni biwakiem i odświeżeni kąpielą w strumieniu Wólkusek zanurzyliśmy się w lesie, w kierunku tej ciągle jeszcze czytelnej etnicznej granicy między polską Augustowszczyzną i ruskim Podlasiem, którą przez lata całe stanowiła Narew. Pogranicznicy wyraźnie starali się nas zniechęcić przed próbą dojechania do trójkąta polsko-białorusko-litewskiego więc ruszyliśmy najpierw w kierunku śluz na Kanale Augustowskim.

Świetna skądinąd książka Rąkowskiego „Polska Egzotyczna”, która była naszym przewodnikiem po całej wschodniej granicy opisywała, szczególnie nadgraniczną część Kanału jako zrujnowaną, a okolicę jako dziką głuszę. Tymczasem ku naszemu zdumieniu nawet śluza Kurzyniec, która miała nieszczęście przepełnienia granicą państwową jest pięknie odnowiona i sprawna. Nie mogliśmy się powstrzymać przed własnoręcznym poruszaniem wrót śluzy Kudrynki (kiedy remont się zakończy nie będzie to już możliwe). Historia Kanału Augustowskiego to doskonały przykład, że

jak trzeba i znajdzie się dobry fachowiec, nawet genialny samouk jak generał Prądzyński można budować trwałe i nowoczesne. A sytuację nieszczęsnego Królestwa Kongresowego chyba trudno porównywać z dzisiejszą Rzeczpospolitą.

W samym sercu Puszczy Augustowskiej małe jezioro Brożane zatrzymało nas na następny odpoczynek. Rozgrzane popołudnie i czysta woda zachęcały do pierwszej w tym roku kąpieli – woda nawet nie była zimna. Niestety, postój przedłużył się niespodziewanie z dwóch powodów: spadł rześisty deszcz, a Dorota zgubiła kurtkę i rękawiczki rowerowe. Dość dramatyczne poszukiwania, podczas których najpierw Dorota szukała rękawiczek, a potem my szukaliśmy Doroty – a na jaw wyszły problemy z zasięgiem komórek różnych sieci i białoruskim roamingiem, zostały szczęśliwie zakończone przybyciem dobrego tubylca. Miły starszy pan, podający się za pochodzącego z Litwinów marynarza i właściciela jeziora (?) przypadkiem odnalazł zguby. Przy butelce chmielowego napitku mogliśmy w ten sposób wysłuchać jego prze-

myśleń na temat bardzo niekonwencjonalnego ujęcia historii oraz antypolskiej działalności obecnych elit rządzących, a także powozownictwa. No cóż? Ktoś powiedział, że kto nie podróżuje i nie poznaje innych ludzi powoli umiera...

Aby więc nie umrzeć ruszyliśmy dalej przez niemiłosiernie piachy, na dodatek rozmoknięte wciąż nawracającym deszczem. Wschodni, przygraniczny fragment lasu jest tu nieciekawym. To brzydka monokultura sosnowa nasadzona w rzędki (zapewne marzenie sennie białowieskiego leśnika), ale konieczność powrotu do granicy sprawiła, że zrezygnowaliśmy ze zwiedzenia ciekawszych lasów okolic Wigier i Augustowa. Kiedy tak wieczorem wychyliliśmy wreszcie z lasu przemoknięci i ujrzeni pierwszy litewski słupek graniczny z nr 015 nad graniczną rzeczką Marychą nikt oprócz oczywiście Alicji nie kwapił się do biwaku. Na kwatery agroturystycznej w Zelwie suszyliśmy się więc długo, posilali i starali przekonać Alę, że jednak nie powinna rozbijać namiotu w sadzie gospodarzy.

C. D. N.



Puszcza Augustowska

III Edycja rajdu rowerowego dookoła polski z MKT

Od żubra do Kopernika (cz. II)

Z następnym dniem rajdu równinny pejzaż puszczański zmienił się znowu w coraz wyższe polodowcowe wzniesienia, wkroczyliśmy na Suwalszczyznę a właściwie Sejneńszczyznę. Mimo, że trudniej było pedałowac z ciężkimi sakwami oczy cieszyły widoki szczególnie na rynną ślicznego jeziora Gaładuś, które jest w części jeziorem granicznym z Litwą. Miło było też stanąć jedną nogą w Polsce a drugą na Litwie, w poprzek granicznego strumyczka bez obawy pochwylenia przez rozsierzonego pogranicznika – co Unia to jednak Unia.

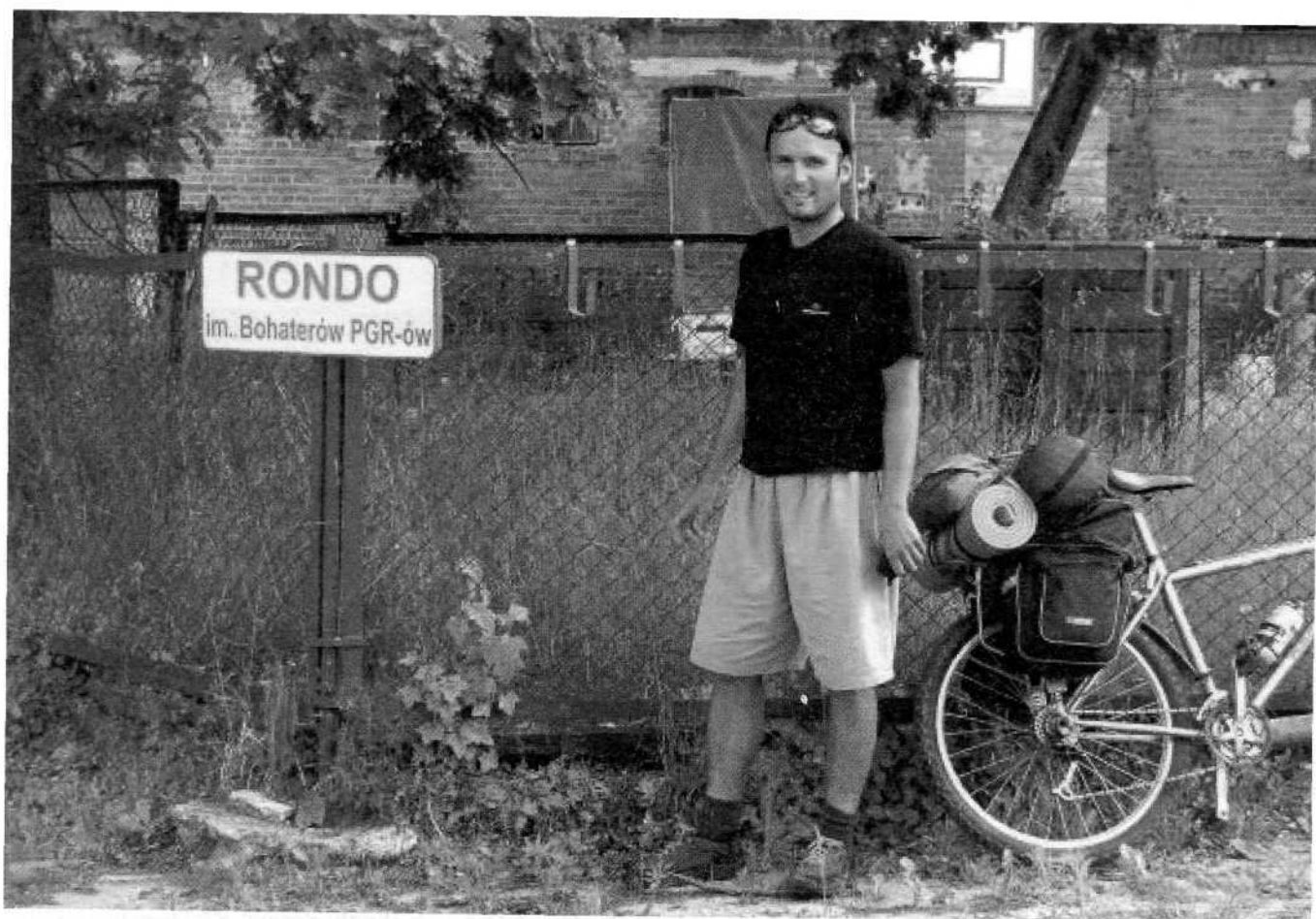
DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCYNY WSI

Taki znak czasu w kontekście niezbyt przyjaznych w ubiegłym stuleciu stosunków polsko-litewskich. Po odzyskaniu niepodległości przez oba kraje po I Wojnie Światowej Litwa chciała objąć swoim te-

rytorium również Litwinów mieszkających na południe od Niemna, w dawnej Kongresówce aż do Sejn. Podobnie bez oporów Polska postanowiła sięgnąć daleko za Niemen do Wilna, oczywiście motywując to potrzebą włączenia ziem zamieszkałych przez litewskich Polaków. Aneksja Litwy Środkowej przez generała Żeligowskiego zakończyła sprawę Wilna, jeśli chodzi o Sejny to przez kilka lat w wyniku ko-

lejnych zbrojnych i politycznych interwencji przechodziły z rąk do rąk bez mała dwadzieścia razy. Ostatecznie ustalona północna granica Sejneńszczyzny jest właśnie tym jedynym fragmentem obecnej granicy Polski, który nie podlegał rewizji po II Wojnie Światowej – na naszej dotychczasowej trasie wyjątek godny odnotowania.

Powiem szczerze, że Polak czuje się w okolicach Puńska dość dziwnie. W stylowej restauracji tuż przed miasteczkiem jedynymi osobami rozmawiającymi po polsku okazują się turyści. Dzieci z mijanego przez nas szkolnego autobusu przed Puńskiem wszystkie wysiadają i ostatnie kilka kilometrów biegają z dumnie wzniesioną litewską flagą w obstawie policyjnego radiowozu. Mijana miejscowość na mapie oznaczona jako Kompocie okazuje się na dokładkę być „Kampuciai”, co obwieszcza postawiona na prywatnym gruncie drewniana tablica. Tak – to także Polska. Dla dogłębnego posmakowania tej „Polski Egzotycznej” postanawiamy spróbować sztandarowej litewskiej potrawy, czyli czenaków. Podawana na gorąco w ceramicznych garnuszkach mieszanka marchwi, kapusty, kiszonych ogórków i drobio-



wego mięsa smakuje rzeczywiście oryginalnie i wyśmienicie ze świeżą śmietaną – polecamy. Na szczęście widoczne z kilku kilometrów białe wieże sejneńskiej Bazyliki z przedziwną rozkładaną figurą Matki Boskiej tak przypominają barokowe świątynie Mazowsza i Lubelszczyzny, że czujemy się znowu u siebie.

Na drodze naszych rowerów ku północy staje tymczasem poważna przeszkoda. Wielki morenowy wał Góry Rowelskiej wznosi się ponad 90 metrów. Ze stojącej na krawędzi drewnianej platformy widokowej wzrok ogarnia bez mała połowę Suwalszczyzny, ale żeby się tam dostać trzeba pokonać różnicę wzniesień jednorazo-

wo po trzech serpentynach – nachylenie drogi po prostu beskidzkie.

Gdyby nie silny południowy wiatr byłyby problemy. Zmęczeni rzucałyby rowery i siadamy na przydrożnych głazach zawleczonech tysiące lat temu z dalekiej Finlandii. Nad nami wiatr gra symfonię na śmigłach elektrowni wiatrowej. Chylące się już mocno na zachód słońce maluje od tyłu krawędzie podejrzanie ciemnych chmur. Dojeżdżają następni maruderzy, wiatr chłodzi spocone, zaczerwienione twarze z wyrazem zasłużonego triumfu. Chwila warta setek przejechanych kilometrów została zwieńczona pięknym, długim zjazdem.

„Sprawiedliwość” dziejowa

Za Górą Rewelską nasz rajd niepostrzeżenie pożegnał się ze wschodem. Ostatni „wschodni” jeszcze biwak czekał nas nad jeziorem Wiżajny. Pamiętam dobrze ciepły, słoneczny wieczór i smak doskonałego wiżajskiego sera z kminkiem i ziołami oraz szybkie zwinanie obozu z powodu deszczu. Dalej na zachodzie ponownie dojechaliśmy





do granicy w pobliżu Żytkiem, gdzie przez pole można dojechać do trójzłacza polsko-litewsko-rosyjskiego. Na rosyjskim słupku dumnie rozsiada się srebrny (?) dwugłowy orzeł w godle sporządzonym plastycznie ze sztucznego tworzywa. Zasięki otaczające rosyjski klin i tablice ostrzegawcze jednoznacznie dają do zrozumienia, czym porządna Rosyjska Federacja różni się od bałaganiarskiej Unii Europejskiej. Litwini nawet słupka sobie jeszcze nie postavili a polsko-litewskiej granicy po prostu nie widać.

I znowu graniczne historie. Rzeczywiście miejsce to było miejscem granicznym od setek lat, tylko że granica biegła tutaj dokładnie prostopadłe do dzisiejszej z północy na południe i oddzielała najpierw Litwę a potem Polskę od... no właśnie nie da się prosto streścić. Najpierw mieszkali tu niesforne plemiona pruskie opierające się do XIII wieku chrześcijaństwu i chętne rabunkowym wypadom na sąsiadów. Potem za przychylnością polskich książąt mieczem i dyplomacją opanowali te ziemie rycerze krzyżacy tworząc jedyne w Europie Państwo Zakonne i sprawiając, że żywioł pruski wygasł tutaj do XVI wieku bezpowrotnie. Na jego miejsce napłyne-

li pod egidą Zakonu na północy osadnicy z Niemiec a na południe z Mazowsza tworząc nowych polsko-niemieckich Prusaków. Ponieważ Państwo Zakonne stało na drodze rozwoju nowemu polsko-litewsko-ruskiemu mocarstwu musiało ulec. Ale ponieważ było to dość dziwne mocarstwo, jego przeciwnik nie został wymazany z mapy i wchłonięty, ale pozostawiony jako podwładny i sojusznik pod nowym świeckim przywództwem książąt Hohenzollern.

Lennik książęcy miał jednak większe ambicje, choć być może nie były one zgodne z pragnieniami jego pruskich podwładnych. W ciągu 200 lat dynastia pruska najpierw stała się brandenburska i elektorską, potem złamała przysięgę lenną, za co znaczna część pruskich poddanych księcia zapłaciła śmiercią lub przymusową wycieczką na Krym i do Turcji w czasie Potopu Szwedzkiego. Wreszcie książę wyrósł na króla a potem cesarza a granica polsko-pruska stała się niemiecko-rosyjską a polski kłopot z wiarołomnym sąsiadem kłopotem rosyjskim i radzieckim.

Nic dziwnego, że jak chcą niektórzy Prusaków musiała spotkać kara dziejowa. Prusy Wschodnie rozdzie-

lone przez Stalina ruchem ręki na mniej więcej dwie połówki między Polskę i Rosję tym razem radykalnie zniknęły z mapy. Efektem tego pozostała prosta jak strzelił północna granica Polski wzdłuż której przyszło nam teraz jechać, i która tak naprawdę rozdziela sztucznie jedną historyczną krainę dopiero od 53 lat. Teraz więc, choć ciągle nie wyjechaliśmy z tego samego kraju, ślady kultury ruskiej przyszło nam zamienić na ślady kultury germańskiej.

Tylko ślady materialne, bo ludzie poprzedni mieszkańcy tych ziem opuścili je niemal całkowicie, niezależnie od tego czy byli Niemcami czy Mazurami a przybysze ze wschodu do dzisiaj słabo identyfikują się z własną ziemią. Dowody tego znajduje się co krok na naszej rowerowej trasie. Po wsiach dominuje popegeerowski rozpad, domy nieremontowane, ludzie niechętni do rozmowy, chyba że pijani. Na placu jednego z osiedli kuriozalny a przecież na wpół oficjalny napis „Rondo Bohaterów PGR-ów” z otoczeniem adekwatnym do treści. Czy to tylko żart?

W porównaniu z Mazurami zacofane Podlasie okazuje się gospodarnie i porządne – to konstatacja dość nie-

samowita. Dopiero w większych miasteczkach pojawiają się oazy porządku, nowe chodniki, skwery i parki, zadbane domy i odrestaurowane zabytki świadczące, że ktoś już uznał to miejsce za swoje. Odjeżdżamy nieco od granicy, żeby te mniej znane Garbate Mazury zobaczyć lepiej. Nasza pokrętna trasa najpierw wiedzie na południe byśmy w bardzo malowniczej miejscowości Stańczyki zobaczyli słynne wiadukty kolejowe – dzieło dobrej niemieckiej inżynierii i nie gorszej propagandy z przełomu wieków. Rzeczywiście budowle robią wrażenie, oba wiadukty pokonują dość głęboką i zarośniętą dolinę rzeczki Błędzianki przesłami wysokimi na ponad 40 metrów, korona jednego z wiaduktów jest odrestaurowana i służy za spacerowy deptak dla turystów z ładnymi widokami. Pod wiaduktami chwyta nas gwałtowna burza, popołudniowe deszcze towarzyszyć nam będą niemal już do końca rajdu.

Zmoczeni zanurzamy się leśnymi drogami w ostępy Puszczy Romińskiej. Ten niegdyś teren łowiecki Cesarzy Niemieckich to jedna z najmniej znanych polskich puszczy. Mimo, że leśne szutrówki całkiem dobrze nadają się na szlaki rowerowe przeklinamy oznaczenia turystyczne. Manowce łąk i młodników po jakich zmuszeni jesteśmy krążyć za wskazówkami miejscowych są na tyle zniechęcające, że nawet Alę dopada kryzys.

– Jedźcie sobie do granicy, ja pojadę szosą do Gołdapi!

– Co ty? Ala. Łamiesz się?

Stajemy chwilę w osłupieniu bo kogo jak kogo, ale Alicji Rokickiej nie podejrzewaliśmy o jakiejkolwiek wątpliwości na trasie. Moment konsternacji. Nie, ambicja jednak zwycięża. Ala znowu napiera na pedały aby pokonać następny terenowy podjazd swoją słynną szosówką. W miarę jak pokonujemy leśne dukty niebo się wygadza. Na moment zatrzymujemy się przy „cesarskim kamieniu”, na którym miejscowi leśnicy w ramach odwiecznego wazelinarstwa utrwalili myśliwski sukces kajzera Wilhelma w postaci „kapitałnego jelenia o 24 odrostach”. Cały dzień spędzony w lesie daje się nam jednak mocno we znaki, że nie mamy już sił na zwiedza-

nie pozostałości Wojennej Kwatery Luftwaffe – rozbijamy namioty na nieczynnym jeszcze kempingu nad jeziorem Gołdap. Z jednej strony przynajmniej nic nie płacimy, z drugiej nie ma co marzyć o łazience i ubikacji. Mimo zmęczenia musimy jeszcze znaleźć siły na niezbędne naprawy rowerów. Na mazurskich kocich łbach połamały się uchwyty sakw, poodkręcały wszystkie luźne nakrętki, porozpadały lampy. Trzeba też naoliwić nie miłośniernie skrzypiące łańcuchy. Nie obędzie się jak co wieczór bez długich nocnych rozmów „na każdy temat”, na które nigdy nie znaleźlibyśmy czasu w zagonionej codzienności.

Woda, woda i trup hrabiego

Na rynku w Gołdapi żegnamy się w Mariuszem Nowakiem. Komórka donosi, że Prezes z Kamilą i Adasiem wytrwale podążający za nami postanowili dać za wygraną i jutro wracają do domu z Wiżajn. Mariusz postanawia wykorzystać okazję i zabrać się z nimi samochodami rodziny, musi gonić do Lublina i na wcześniej wykupiony samolot do Londynu – praca nie chce czekać.

da też dookoła bo nawet nazwa krainy pochodzi od rzeki – to tzw. Kraina Węgorapy. Rzeką Węgorapą, która bierze początek w jeziorze Mamry i przepływa przez znane wszystkim żeglarzom Węgorzewo zmierza tutaj bardzo zawiastymi meandrami ku północy przez zabagnioną równinę usianą małymi jeziorkami aby gdzieś za granicą zanieść wodę do Pregoly i Bałtyku.

Zanim jednak rzeka przekroczy granicę przepływa koło małej miejscowości Rapa, która jest znana wszystkim polskim miłośnikom wahadełek i miejsc mocy. Liczne artykuły w odpowiedniej prasie „fachowej” utwierdzają w przekonaniu, że moc w pobliżu wybudowanej przez pruskiego właściciela ziemskiego hrabiego von Farenheida piramidy-grobowca jest tak potężna, że nie tylko jego zwłoki zachowały się nienaruszone w bagnie, ale nawet komary uciekają.

Niestety tego dnia chyba „promieniowanie” było słabsze bo kiedy przygotowywaliśmy sobie obiad pod piramidą cięły nie miłośniernie. Na szczęście promieniowanie natchnęło kucharzy i kluski miały wyjątkowy smak wiżajskiego sera. Co do stanu zachowania



We wtorek 6 czerwca wiosenne deszcze osiągnęły swoje apogeum. Prawdziwie nieprzemoknięte pozostały tylko nieprzemakalne sakwy Crosso. Pomimo ochraniaczy woda chlupocze w butach, cieknie za kołnierz z kapturów i kapeluszy rozbryzguje się malowniczo z pokonywanych kałuż. Wo-

wania zwłok w piramidzie grobowej jest to raczej widok smutny, żeby nie powiedzieć przygnębiający. Doczesne szczątki hrabiego Farenheida wystawione razem z trumnami żony i córeczki na widok publiczny widoczne są w półmroku przez okratowane okienka dawno pozbawione szyb. Może przy-

najmniej ezoteryczna sława piramidy w Rapie uratuje trupa hrabiego od poniewierki – czy to właśnie ta dziejowa sprawiedliwość?

Mimo deszczu rejestrujemy pejzaże, zwykle nieodzownym elementem każdego mijanego, większego osiedla jest prosty kościółek z polnych kamieni z czubatą wieżą od zachodu. Profil drzwi i niewielkich okien zdradza późny gotyk – to styl, który na Mazurach przetrwał daleko w głąb XVII wieku znamionując po prostu kulturowe zaćmienie. Gdzie tutejszym kościołom do rozmachu polskiego baroku, ale przecież są tutejsze i dobrze, aby stały się... nasze. Jest też inny zabytek, tym razem znowu zabytek techniki wodnej. Marzeniem niemieckich decydentów było połączenie Wielkich Jezior Mazurskich z Bałtykiem tak aby drogi wodne scalały całe Prusy Wschodnie. I dla dzisiejszych żeglarzy atrakcją byłoby spędzenie wakacji na szlaku od Warszawy do Królewca i Gdańska. Mazurscy mitomani rozpuszczają nawet legendy, że to u-boty miały wpływać tędy na jeziora, gdzie bezpiecznie można je było remontować. Niestety cement, który miał służyć do budowy nabrzeży i słuz został zużyty na bunkry i stanowiska strzeleckie, tym sposobem niedokończony Kanał Mazurski pozostaje tylko smętnym zabytkiem.

Przyznam się, że oglądana przez nas śluza Guja, wykończona niemal do użytku jest wielka i toporna (nie ma tej zgrabnej lekkości budowli Kanału Augustowskiego). A może mógłby tędy przepłynąć mały okręciś podwodny? Na razie w szarej betonowej bryle, królują wywabione przez ulewę żaby.

– Jak to, ładnie to tak żeby w PTTK-u nie było miejsca dla prawdziwych turystów?

Ala jest mocno oburzona, kiedy recepcjonista w węgorzewskim Domu Wycieczkowym bezzadanie rozkłada ręce. Kapitalizm mocno odmienił turystyczne obyczaje, a my stoimy trochę zrezygnowani, bo marzyliśmy tylko o wysuszeniu się i odpoczynku. Sumienie chyba jednak rusza chłopaka, bo udostępnia nam Internet z adresami kwatery agroturystycznych. Trzeba tylko przejechać... jeszcze 10 kilometrów, na szczęście zapada wieczór i przestało padać.

Wracamy znowu ku granicy w odludną okolicę pełną nieużytków, łasków i jezior. Wśród niewielkich wznieścień ukrywa się miejscowość Guja. Serdeczne przyjęcie przez gospodarzy szybko przywraca wiarę w ludzi i chęć do życia, można wysuszyć mokre rzeczy w kotłowni, umyć się w ciepłej wodzie i na tarasie wsłuchać się w odgłosy okolicy. Skłębione chmury odchodzącej burzy rozsypują się na różowym zachodzie. Gdzieś tam w dojmującej ciszy stukają poszczekiwanie psów i strzały myśliwych, efekt akustyczny całkowicie obcy dla miejskiego ucha. To może ostatnia taka okazja, jeszcze tylko 2 dni rajdu przed nami.

Tam gdzie poruszono ziemię

Pewnie dlatego, że zaczynamy odczuwać już podświadomie znużenie rajdem zaczyna nas ciągnąć od granicznych wertepów ku wygodnym asfaltówkom. Jeszcze do południa ciągnęliśmy przez zalesioną krainę Węgorapy bocznymi szutrówkami i kociami łbami, ale za Barcianami już nikt nawet nie próbował zawracać ku północy. Okazało się, że oprócz ładnego

kościółka i ratusza nie ma tu żadnej porządnej jadłodajni. Na krótko chronimy się w przyrynkowej speluncie na ciepłą kawę i sesję fotograficzną z tutejszymi wesołymi bywalcami.

Niezbyt gościnne Barciany zapowiadają mniej ciekawe okolice. Na Nizinie Sępopolskiej, do której dojechaliśmy lasów i jezior jest mało a i wście jakieś smutne. Pedalujemy więc mocno po szosach ścigani falami przelotnych deszczy, przychodzi też zmagać się z narastającym zachodnim wiatrem. Dopiero w słynnych dla bywalców polskich kolei Korszach udaje nam się zjeść smaczny obiad w wielkim lokalu, którego byliśmy jedynymi klientami. Ciągła groźba deszczu nie nastraja nas przychylnie do perspektywy biwakowania (oczywiście nie dotyczy to Ali). Przy wjeździe do nieco większych Bartoszczy od razu zaczynamy szukać hotelu. Wprawdzie stary motel przy szosie już w stanie upadku, ale dalej przynajmniej cztery nowe hoteliki zwiastują sukces nowych czasów. W ogóle Bartoszczyce wydają się całkiem pozytywnie, zdają się być właśnie tą oazą w popegeerowskim upadku.



Kiedy już rozkładamy śpiwory na podłodze hotelowego apartamentu, a rowery zasiedlają hotelową pralnię nagle wszyscy wychodzimy. Jedni do sklepu inni na spacer nad Łynę – jakoś zainteresowało nas to miasteczko z gotycką bramą zamykającą nieduży rynek zdobny w kolorową fontannę. No i trzeba też podziękować Paniom z recepcji, które nie potraktowały zbyt dosłownie naszych „dostawek”, dzięki czemu koszt noclegu nie przekroczył 30zł na osobę.

Jakoś tak się złożyło, że z ostatnim etapem rajdu wkroczyliśmy na Warmię. Gdzieś w mrokach średniowiecza, gdy rycerze krzyżowi ogniem i mieczem wypalali tutejszą ziemię i tworzyli na pogańskich zgłiszczach chrześcijańskie państwo mnichów, ten trójkątny splacheć sięgający Wiślanego Zalewu i noszący imię wyniszczonych pogańskich Warmów dostał się biskupowi. Po kilkuset latach okazało się, że mieszkańcy Warmii mieli wystarczająco dużą niechęć do swoich krzyżackich panów, aby grubszą gotówkę poświęcić na wyrwanie się spod opieki czarnego krzyża. Przez te skomplikowane koleje historii w ciało rodzącego się protestanckiego Księstwa Pruskiego wklinował się kraik niemiecki, ale katolicki, którego odrębność i silny związek z Polską zachowały się aż do tragicznego końca Prus Wschodnich.

Wśród wielkich ludzi Warmii, słynnych biskupów: Dantyszka, Krasickiego, Hozjusza, Kromera, czy Papieża



Piusa II, cały świat pamięta jednego tylko, zarządcę dóbr Kapituły Warmińskiej i to z powodu jego ubocznego hobby jakim była astronomia.

Zanim wjechaliśmy na Warmię jeszcze tylko skok do granicy, gdzie obok małej wsi Grzechotki wspaniała autostrada celuje w nowe przejście graniczne do Rosji. Znowu zdjęcia dokumentacyjne i okazja, żeby pędzić rowerami po pustej autostradzie. Nabieramy takiego rozpędu, że ledwo zatrzymujemy się przy katedrze w Braniewie – dawnej warmińskiej stolicy. Podziwiamy staranność budowniczych, którzy wzniesli świątynię niemal od podstaw po ruinie wojny i stąd już krok do Fromborka. Na miejsce docieramy

w różowych promieniach wieczoru po przebyciu 120 kilometrów – ostatni etap okazał się też najdłuższym, co szczególnie cieszy Dorotę. To dla niej najdłuższy etap w życiu, ale dzięki temu zyskujemy pół dnia na zwiedzenie miasteczka.

Jak to jest, że wszystkie etapy naszego rajdu granicznego spina taka piękna klamra? Tak było dwa lata temu w słońcu wieczoru w bieszczadzkim Warłamowie i rok temu na opustoszałym wzniesieniu Gródka Nadbużnego. Wprawdzie aż w trzech miastach Pomorza i Mazur twierdzą, że to właśnie u nich Mikołaj Kopernik dokonał wiekopomnych obserwacji, ale piękne widoki z wieży twierdzy kapituły warmińskiej przekonały nas, że natchnienie spadło na niego właśnie tutaj. Patrząc na rozświetlone słońcem chmury pędzące nad Zalewem Wiślanym i odległą mierzeję, gdzie pewnie zaczniemy w przyszłym roku dzielić się wrażeniami z zadowoleniem i niekłamana satysfakcją. Do zobaczenia za rok we fromborskim porcie!

Post scriptum

Pod koniec sierpnia 2009 r. Paweł Krawczyk wraz z rodziną postanowili zrekompensować sobie wiosenną rezygnację z trasy rajdu. Zaczynając od Wiżajn dojechali w ciągu kilku dni do Gdyni i tym sposobem należy ich zaliczyć do pełnoprawnych uczestników III edycji Rajdu Dookoła Polski z MKT!

